

nas prosić, żeby ich nie pozostawiać na pastwę Niemcom. Kabel telefoniczny został zerwany. Wreszcie nasi sąsiedzi z gmachu Królewska 16 zaczęli do nas strzelać! Uznali widocznie, że jak nie ma dykty z szachownicą to myśmy odeszli. Trzeba było zadziałać bardzo energicznie. Ktoś pobiegł na Królewską, żeby wyjaśnić im to nieporozumienie. Ja podjąłem się iść do kapitana „Hala” do Habermuscha, zanieść meldunek oraz wyjaśnić mu ustnie sytuację w jakiej znaleźliśmy się. Ktoś mnie zatrzymywał i szepnął, żebym tam nie chodził, bo tam już są Niemcy! Nie usłuchałem. Aby się tam dostać trzeba było obchodzić naokoło, tzn. dojść do ulicy Twardej, a dalej bramami wypalonych domów do Ceglanej. Od razu wpakowałem się pod ogień cekaemu z wieży straży ogniowej z Chłodnej. To nie była łatwa droga. Zupełna pustka, zupełna ruina. Żadnych posterunków w bramie na Ceglanej na wprost Habermuscha nie było! Żywego ducha! Trochę mi serce zabiło przed tym ostatecznym skokiem w ten otwór okienny. Jeśli tam rzeczywiście są Niemcy? Wpadłem prosto w ręce czujnej placówki. Od razu chcieli mnie rozbroić. Byłem podejrzany bo oni mieli wiadomości, że myśmy z Grzybowskiej odeszli. Nie bardzo mi wierzyli. Dopiero jak ich zwymyślałem odpowiednio zdecydowali się doprowadzić mnie do kapitana „Hala”. Wyjaśniłem mu naszą sytuację, zapewniając go, że u nas jest wszystko w porządku. Teraz zaludniło się u Jarnuszkiewicza. Przybyli nasi, którzy dotąd siedzieli beczynnie w gmachu „PAST-y”. Zajęli nadające się na kwatery pomieszczenia fabryczne. Było nam rażniej, bo już nie musieliśmy zwracać tak bacznej uwagi na ten wciąż zagrożony rejon naszych umocnień. Ale to było już pod koniec naszych zmagania.

Nastał ponury, deszczowy dzień drugiego października. Nieśliśmy worki z amunicją na Plac Grzybowski. Tam przy stołach urzędowała komisja polsko-niemiecka. Staliśmy w kolejce. Padał wciąż deszcz. Teraz, jak już nie płoną ulice! Teraz, gdy można swobodnie dojść do pompy! Wszystko to spowodowało, że narastała we mnie fala wściekłości i goryczy. Nie pokazałem dotąd niczego nadzwyczajnego. Byłem po prostu razem ze wszystkimi tam, gdzie powinienem być. Strzelałem i do mnie strzelano. Bałem się. Teraz byłem po prostu wściekły!

Cisnąłem im pod nogi mój worek z impetem! Spytałi co to jest, bo musieli zapisać. Granaty. Odparłem. I patrzyłem im w raptownie blednące twarze. Odwróciłem się i odszedłem. Na kwaterze pakowano już chlebaki i plecaki. Szykowano się do drogi. Ostatnim rozkazem dziennym Dowództwo żegnało się z nami dziękując za postawę w walce z wrogiem. Były awanse. Naszywałem trzecią belkę.

Następnego dnia szliśmy zostawiając za sobą gruzy miasta i gruzy naszych nadziei. Po bokach stali cywile. Płakali. Za nimi był milczący szpaler. To oni. Wciąż dumni, wyniośli, w czystych mundurach. Wszyscy trzymali w rękach pistolety firmy „Thomson”, te ze zrzutu. Przeznaczone dla nas. Od Placu Kercelego szliśmy już bezbronni w dalszą drogę.